

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

29

Paulin Broquet wyjął latarkę elektryczną i przy jej świetle przyjrzał się drzwiom, wskazanym przez Felana oraz sąsiednim. Nawiasem mówiąc, wiedział doskonale, które drzwi prowadzą do mieszkania hrabiny.

— Więc jesteś pewny — zapytał jeszcze raz — że te drzwi z prawej strony?

— Tak jest, panie szefie.

— Dobrze, zobaczmy. Otworzymy je. Nie znasz jeszcze, mój chłopcze, mojego sposobu otwierania drzwi, zwłaszcza, gdy chodzi o specjalne angielskie zamki. Masz teraz dobrą sposobność — to ci się może przydać. Zbliź się.

Ale Felan zdawał się nie być wcale ciekawym. Podczas gdy detektyw wyjmował z kieszeni przyrządy, cofnął się o parę kroków, jakby chcąc zejść ze schodów. Paulin Broquet zatrzymał go.

— Chodźże tu bliżej? Gdzie idziesz?

— Zdawało mi się, panie szefie, że ktoś idzie po schodach, chciałem sprawdzić.

— Al-ż nie, nie nie słysząc, zdawało ci się.

Wziął Felana za rękę i postawił go koło drzwi. Felan opierał się i zdradzał wyraźną chęć ucieczki. Detektyw skierował promień lampki na jego twarz. Felan był blady, jak płótno, rozszerzone oczy i szczerzenie zębami świadczyły o silnym przestachu.

— Co ci jest, mój chłopcze? — zapytał z uśmiechem Paulin Broquet. Jesteś wzruszony... Boisz się? Uważałem cię za odważniejszego. Nie masz się czego obawiać, jestem przy tobie.

Trzymał go mocno za rękę.

— Zresztą — ciągnął — mamy szczęście, drzwi nie są zamknięte, otworzą się, gdy się je pchnie. No, wejdz.

Jednocześnie zawiesił latarkę na guziku kamizelki, żeby mieć wolne ręce i w prawą ujął rewolwer.

— Wejdz! — powtórzył ostrym tonem.

Felan jeszcze raz spróbował ucieczki, ale detektyw trzymał go mocno. Zrozumiał teraz, że szef wie o wszystkim i przyprowadził go tu, żeby ukarać. Padł na kolana, błagając.

— Przebaczenia, panie szefie! Przebaczenia!

— Nędzny, podły tchórz! — rzekł spokojnie Paulin Broquet. — Oddawna szukałem dowodu twej zdrady — mam go teraz.

— Litości!

— Litości? Ba! ty nawet nie masz duszy bandyty. Nie godzien jesteś być w bandzie Zigomara. Jego ludzie są odważni. A ty jesteś szmata!

— Błagam pana, panie szefie.

— Wiem, co jest za temi drzwiami — straszliwy przyrząd, maszyna dyabelska — a więc czekała mnie tam pewna śmierć. I ty to przygotowałeś.

— Nie, panie szefie...

— Widziałem! I teraz bez wahania przyprowadziłeś mnie na śmierć!

— Łaski! Łaski!

— Nie! Miej przynajmniej odwagę odpokutować za swe winy. Ja cię tylko skazuję, wykonawcą wyroku jest Zigomar.

Podniósł Felana za kołnierz w górę, rozbijał jego ciało i rzucił z całej siły w drzwi. Felan wydał przeraźliwy okrzyk, drzwi pod ciężarem ciała otworzyły się i nędznik znikł w płomieniach. Z drzwiami umieszczony był gumowy balon z eterem połączony z elektrycznymi przewodnikami.

Przy otwarciu drzwi eter zapalił się.

Piekielny wynalazek Zigomara posłużył do ukarania zdrajcy. Gdy straż ogniowa ugasiła pożar, znaleziono zwłoki Felana zupełnie zwęglone.

Hrabina Wassowia znikła z Paryża.

Paulin Broquet pokazał Zigomara, że potrafi walczyć na ostre, że nie daruje żadnego zamachu na swych ludzi.

— Tym razem — powiedział detektyw do Gabryela — chyba nikt nie będzie się śmiał z Paulina Broqueta. Ale jednocześnie, nie bez niepokoju — zaptywał sam siebie:

— Jaka teraz będzie zemsta Zigomara?

Przez kilkanaście dni była cisza. Ale Paulin Broquet i jego ludzie nie spoczywali. Prowadzili dalej swą pracę, śledząc przeciwników i otaczając opieką swych protegowanych. Detektyw specjalnie gorliwie zajmował się panią Garitzą. Ajenci zagra-

niczni dali znać, że plany nowej armaty Rimaitho przesłano do Berlina. Paulin Broquet wiedział, że Zigomar wkrótce dowie się, iż plany te są bez znaczenia. Wówczas los pani Garitzy będzie straszny. Ale biedna kobieta działała w dobrej wierze. Zigomar sprawdzi to, o ile sam zechce zakraść się do mieszkania pułkownika i nie znajdzie tam innych planów.

Paulin Broquet liczył na to, że wszystkie usiłowania Zigomara w celu zawiadnięcia planami nowej armaty, spełzną na niczem.

ROZDZIAŁ XX.

Pewnego poranku, pan Rhamard, szef bezpieczeństwa wezwał do siebie Paulin Broquet.

— Drogi panie Broquet, czy może mi pan poświęcić dwie godziny czasu?

— I owszem, panie szefie. Jestem do rozporządzenia. O co chodzi?

— Specjalna komisja ma dziś sprawdzić całość zapasów złota, przechowywanego w piwnicach Banku Francuskiego. Jestto — jak pan się zapewne domyśla — czysta formalność, jednakże prawo wymaga, żeby byli przy tem obecni prefekt policyi, szef bezpieczeństwa i ich główni pomocnicy. Jeżeli więc ma pan czas, to zabiorę pana ze sobą.

Z przyjemnością panie szefie, poznam te sławne piwnice, do których tak trudno się dostać.

Paulin Broquet zabrał też ze sobą Gabryela.

Po dopełnieniu formalności i sprawdzeniu tożsamości obecnych, komisja udała się do piwnic. Żeby się do nich dostać, trzeba przejść przez długie korytarze pilnie strzeżone, otworzyć cały szereg drzwi o specjalnych sekretnych zamkach, których tajemnice zna tylko dyrektor banku i dowódca straży. W piwnicy szeregiem stały drewniane o żelaznych obręczach beczki, każda zawierała milion franków w złocie. Każda beczka była opatrzona numerem porządkowym, pieczęciami lakowymi i pieczętkami z datą, oznaczającą dzień kontroli. Prawo wymagało sprawdzenia zawartości wszystkich beczek, ale to wymagałoby całych miesięcy pracy. Komisja więc zadowalała się sprawdzeniem, czy zamki i pieczęcie są w porządku i kontrolą trzech beczek w różnych miejscach piwnicy.

— I to wystarcza? — zapytał Paulin Broquet.

— Tak — odparł szef bezpieczeństwa. — Te trzy beczki wybiera się na chybił trafił, więc taka próba jest wystarczająca.

— Przepraszam, panie szefie — mnie się zdaje, że przeciwnie, to nie powinno wystarczyć.

Pan Rhamard zaczął się śmiać.

— Rzeczywiście! Ale pańskie przypuszczenie jest paradoksem. Kradzież jest niemożliwa.

— Wszystko jest możliwe.

— Tutaj! przy takich zabezpieczeniach, przy takiej warcie!

— Tak, nie przeczę, wszystko to jest dosyć dobrze urządzone, ale złoto kusi.

— Drogi panie Broquet, byłoby szaleństwem próbować tu kradzieży.

Paulin Broquet nie odpowiedział nic więcej. Rozglądał się natomiast bacznie na wszystkie strony. Dyrektor wskazał jedną z beczek. Otworzono ją i poczęto sprawdzać wagę worków ze złotem. Paulin Broquet wówczas, pod pozorem, iż ta kontrola nie zajmuje go, zabrał ze sobą Gabryela i zagłębił się w galerię piwnicy. Od czasu do czasu zatrzymywał się, patrzył na kompas, zastanawiał się nad czemś i szedł dalej. Nagle zatrzymał się przy jednej z beczek. Pochylił się, obejrzał pieczęcie przez lupę, poczem nic nie mówiąc, powrócił do komisji, która właśnie rozpoczynała sprawdzanie drugiej beczki. Tym razem detektyw przyglądał się czynnościom komisji z wielkim zainteresowaniem. Wreszcie zwrócił się do szefa bezpieczeństwa!

— Panie szefie — rzekł — jeżeli sprawdza się te beczki na chybił trafił, czy nie mógłby pan poprosić dyrektora, żeby sprawdził tę beczkę, którą pan mu wskaże?

— W jakim celu, panie Broquet?

— Niech pan to uważa za moją fantazję.

Szef bezpieczeństwa powtórzył życzenie detektywa dyrektorowi. Ten naradził się z komisją. Wszyscy obecni spojrzeli na Paulin'a Broquet'a z ironicznym uśmiechem. Zнали jego manię, wiedzieli, że ten człowiek zawsze chce znaleźć coś nadzwyczajnego. Ale w końcu komisja zgodziła się na propozycję, aby po sprawdzeniu trzech, wskazanych przez dyrektora beczek, otworzyć jeszcze czwartą. Gdy zawartość trzeciej beczki została zważoną, dyrektor zwrócił się do p. Rhamard'a i Broquet'a.

— Teraz zechcą panowie wskazać nam swą beczkę.

Paulin Broquet zaprowadził komisję w korytarz piwnicy, gdzie stała beczka, którą przed chwilą oglądał. Instynktownie członkowie komisji poczęli rozglądać się na wszystkie strony, badając wzrokiem ściany, sufit, podłogę, wreszcie stojące rzędem beczki.

— Która to beczka? — zapytał dyrektor.

— Zanim ją wskażę — odparł Paulin Broquet — chciałbym się spytać, czy która z tych beczek była już kiedy sprawdzana?

— Naturalnie i to można poznać bardzo łatwo po specjalnych pieczętkach. Jeśli mnie pamięć nie myli, to podczas ostatniej rewizji byliśmy właśnie w tej części piwnicy.

Dyrektor nachylił się nad jedną z beczek i dodał.

— Ta oto beczka była sprawdzana.

— Właśnie o tę samą beczkę mi chodzi — odparł Paulin Broquet.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

— Chce pan, żeby otworzono tę beczkę?

— O ile to jest możliwem...

— Ale dlaczego? Dlaczego tę właśnie? Co pana do tego skłania?

— O, drobnostka, panie dyrektorze, drobny szczegół, który odkryłem przez lupę.

Członkowie komisji pochyliłi się nad beczką, oglądając ją na wszystkie strony.

— Wszystko jest w porządku — rzekł dyrektor — zamki, pieczęcie.

— Istotnie — rzekł Paulin Broquet — są tam jednak drobne niedokładności, które odkryłem przez lupę, a które skłaniają mnie do powtórzenia mej prośby o otworenie tej beczki.

Dyrektor zdawał się być podrażniony tym uporem, jednak po namyśle rozkazał.

— Otworzyć!

Gdy podniesiono pokrywę, wszyscy nachylili się i natychmiast odetchnęli z ulgą, worki ze złotem leżały w beczce w porządku. Oczy członków komisji zwróciły się na detektywa. Ale Paulin Broquet nie stracił zimnej krwi.

— Prosiłbym o zważenie worków — rzekł spokojnie.

Dozorca ujął pierwszy z brzegu worek i natychmiast opuścił go z okrzykiem przerażenia:

— To nie jest złoto! Okradziono Bank francuski! Worki, zamiast złota, zawierały kamienie. Powstało zamieszanie. Teraz już nikt nie mógł wątpić o kradzieży. Ale kto, kto mógł tego dokonać?

— Jeden tylko człowiek — odparł Paulin Broquet — Zigomar!

W głębokiej ciszy, która nastąpiła po tem oznajmieniu — nagle w głębi piwnicy rozległ się lekki szmer. Członkowie komisji zadrżeli, może to straszliwy bandyta przyhywa po drugi milion...

Paulin Broquet uśmiechnął się.

— Uspokójcie się, panowie — rzekł — to tylko szczur.

Komisja opuściła piwnice i udała się do biura dyrektora w celu spisania protokołu. Po drodze pan Rhamard nachylił się do ucha detektywa i rzekł.

— Może pan być pewny, że przeklinają w duchu Paulin'a Broquet'a i jego lupę.

— I ja tak myślę — odparł detektyw.

W swem biurze dyrektor zwrócił się do członków komisji z prośbą zachowania sekretu o kradzieży.

— Bank Francuski stracił milion franków — rzekł — stratę tę łatwo można będzie pokryć, niepodobna jej jednak rozgłaszać, gdyż obudziłoby to zbyt niepokój wśród publiczności.

Poczem — zwracając się do pana Rhamard — dodał:

— Proszę pana o polecenie zbadania tej sprawy panu Paulinowi Broquet.

Detektyw niczego więcej sobie nie życzył.

— Przedewszystkiem — rzekł do dyrektora — chodzi mi o to, żeby absolutnie nikt nie wiedział, że ja objąłem śledztwo w tej sprawie. Następnie proszę o wydanie polecenia, by do piwnicy, gdzie popełniono kradzież, zaniesiono dwa worki gipsu w proszku.

Wieczorem Paulin Broquet udał się wraz z Gabryelem do piwnic. Towarzyszył im sekretarz Banku. Obejrżeli starannie ściany, sklepienia, nie dojrżeli jednak nic podejrzanego. Wówczas pokryli podłogę piwnicy warstwą gipsu. Na drugi dzień na gipsie nie było żadnych śladów. Minał tydzień, detektyw codziennie zaglądał do piwnicy, śladów jednak nie było. Pewnego wieczora jednak ujrzał odciski łap szczura. Prowadziły one do jednej ze ścian i tu się kończyły. Detektyw długo i starannie badał ścianę, ale nie odkrył w niej nic podejrzanego. Napróżno ostukiwał ją młotkiem, przypuszczając, iż usłyszy pusty dźwięk.

Znowu minęło kilka dni, a na gipsie nie odnaleziono śladów nóg ludzkich.